Nr. 43. Poznań, niedziela 25-go października 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. **Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22 II p. **Administracya:** Podgórna ul. Nr. 7 w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego. **Pojedyńczy numer:** w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen. **Rękopisów drobnych niezwracamy.**

TREŚĆ.

Położenie ekonomiczne Górnego Szląska.

W dawniejszych notatkach*) mówiliśmy o rozwoju ekonomicznym, jaki się przejawia w ostatniej fazie na rynku wszechświatowym. Zwróćmy się teraz specyalnie do dzielnic polskich pod zaborem pruskim i rozejrzmy się, jak przedstawia się tam położenie przemysłowo-handlowe za rok ubiegły. Materyału dostarczają sprawozdania roczne izb handlowych (Bericht der Handelskammer für den Regierungsbezirk Oppeln, 1895, Jahres-Bericht der Handelskammer für den R. B. Posen für 1895).

Zaczynamy od Szląska i zaznaczamy na wstępie, że sprawozdania opolskiej izby handlowej należą do najlepiej opracowanych, tak że na zasadzie ich łatwo wytworzyć sobie pojęcie o położeniu ekonomicznem.

W sprawozdaniu za rok 1894 znajdujemy na wstępie utyskiwanie: „Ogólny stan niepomyślny rynku wszechświatowego, trwający już od lat kilku, nie mógł nie wywrzeć swego wpływu na nasz okręg górnoszląski. Tylko przez wielkie natężenie i po części przez obniżenie cen można było utrzymać dawniejszy odbyt i cokolwiek rozszerzyć produkcyę“. Dalej zaznacza sprawozdanie, że jeżeli rok 1894 nie był jeszcze gorszym od poprzednich, to zawdzięcza się to jedynie traktatowi handlowemu z Rosyą, który pozwolił na znaczne powiększenie wywozu żelaza i węgla. Wywóz węgla do tego państwa wzrósł z 153,784 ton (po 1000 kg.) w roku 1893 do 224,747 ton w roku 1894. Odbyt wewnątrz okręgu Górno-Szląskiego na węgiel był nie zupełnie zadawalniający, gdyż fabryki cementu i cukru potrzebowały go mniej w skutek zastoju w tych gałęziach, a jedynie huty żelazne i koksownie, znów dzięki traktatowi handlowemu z Rosyą, miały produkcyę cokolwiek więcej ożywioną.

*) Patrz artykuły „Fakty z życia ekonomicznego“.

Przemysł metalurgiczny jednakże wogóle narzeka. Przemysł tkacki był w położeniu bardzo przykrem. To samo przemysł chemiczny, cukrownie i młyny.

Zupełnie inną piosnkę słyszymy za rok 1895. „Liczne obstalunki zapewniające na dłuższy czas zajęcie, dozwalają wnioskować, że ruch ekonomiczny począł się wzmagać i należy oczekiwać nadal pomyślnego rozwoju interesów“. Zobaczmy jak przedstawiają się cyfry dla najważniejszych gałęzi produkcyi.

W kopalniach węgla powiększono w porównaniu z rokiem 1894 produkcyę z 17,19 milionów ton (po 1000 kg.) do 18,06 milionów; suma osiągnięta ze sprzedaży wzrosła z 86,5 milionów marek do 90,47 mil. marek. Cena za tonę podniosła się z 5,44 m. do 5,59 m. Przyczem zważyć należy, że liczba kopalń nie zwiększyła się, lecz zmniejszyła z 57 na 54, ale kopalnie te pracują z większą liczbą maszyn (903 przeciw 896) i maszyny przedstawiają większą liczbę koni parowych (82 553 przeciw 76 973 w roku przeszłym). Odbywa się więc koncentracya.

W kopalniach rudy żelaznej rzecz przedstawia się mniej pomyślnie, produkcya tu zmniejsza się stale od lat kilku. Wynosiła w latach od 1891—95 kolejno: 654,000 — 646,000 — 624,000 — 560,000 — 475,000 ton. Liczba kopalń zmniejszyła się z 49 do 45, siła jednakże maszyn powiększyła się z 389 do 460, co świadczy, że większe przedsiębiorstwa bądź co bądź liczą na powiększenie swojej produkcyi i zabierają się do podkopania drobnych.

Ten sam proces odbywa się w kopalniach rudy ołowianej i cynku: produkcya zmniejsza się, odbywa się koncentracya.

Inaczej w hutach żelaznych. Tu produkcya powiększa się stale od roku 1893 i wynosiła kolejno w latach 1893—94—95 ton 556,000 — 622,000 — 634,000, liczba zaś wielkich pieców zmniejsza się stale i wynosi kolejno za lata 1891—95 pieców: 30, 28, 25, 26, 25.

W walcowniach żelaza i stali liczba przedsiębiorstw pozostaje stałą (19) od lat kilku, liczba maszyn wzrosła w roku sprawozdawczym z 387 do 397, a siła tych maszyn z 27 277 parowych koni do 28 997; wartość produkcyi zaś wzrosła z 48,09 mil. marek do 55,38 mil. marek. Ceny wogóle podniosły się.

W koksowniach znów mamy wyraźną koncentracyę: liczba ich w roku 1891 wynosi 17, spada w roku 1892 do 15 i w 95 do 13, pomimo że właśnie w roku ostatnim produkcya powiększyła się o 51 000 ton, a wartość jej wzrosła z 11,7 mil marek do 12 mil. marek.

Odlewnie żelaza w roku sprawozdawczym robiły dobre interesy. Liczba ich wzrosła z 54 do 56, lecz liczba maszyn zmniejszyła się z 38 do 33, a zato siła koni tych maszyn wzrosła z 637 do 735, jak również liczba robotników z 1825 do 2156. Wartość produkcyi wzrosła z 5,0 do 5,6 mil. m.

Tak więc ogólnie widzimy pomyślny stan przemysłu kopalnianego i hutniczego. Inne gałęzie przemysłu żelaznego i wyrobu metalów wogóle przedstawiają się również pomyślnie.

Z innych zaś mniej ważnych gałęzi wytwórczych niepomyślnie przedstawia się przemysł chemiczny i tkactwo. Młyny miały obroty lepsze, o cukrowniach zaś czytamy: „ogólne położenie w porównaniu z rokiem minionym (1894) było o wiele korzystniejsze. Znaczne straty, jakie ponieśli w roku zeszłym producenci wobec zniżki cen cukru, oraz nadprodukcya zmusiły fabrykantów do obniżenia cen buraków o 10 15%.“ Na to rolnicy w roku 1895 odpowiedzieli zmniejszeniem plantacyi. Cena cukru w roku 1895 podniosła się o 12%.

O rozwoju ekonomicznym świadczy też ożywienie w interesach bankowych.

Ogólny obrót w bankach obrachunkowych wynosił około 631 milionów marek w porównaniu z 491 mil. mrk. w roku 1894. Charakterystycznem jest również zwiększenie sumy przekazów pocztowych; w roku bowiem 1894 bióra pocztowe pierwszej klasy w tym okręgu przyjęły na przekaz sumę 69,2 mil. marek, w roku 1895 — 17,9 mil. marek. Zaznacza też sprawozdanie, że wzrasta „zainteresowanie publiczności dla transakcyi w effektach“, a więc podwyższenie dywidendy zachęciło publiczność i tu do spekulacyi.

Spław na Odrze również odpowiada ożywieniu przemysłowemu: przez szluzy przepłynęło w latach 1893—1895 kolejno statków: w dół rzeki 3155—3030—4492, w górę rzeki 3543—3010—4656. — Wszystkie te cyfry świadczą, że ogólne położenie pomyślne rynku wszechświatowego odzwierciadla się *en miniature* w tym okręgu.

Jeżeli teraz zwrócimy się do tych gałęzi handlu, które przedewszystkiem zależą od siły kupczej publiczności, obraz się zmienia. Oto co mówi sprawozdanie o handlu towarów łokciowych i konfekcyi: „W tej gałęzi w roku bieżącym nie nastąpiło w porównaniu z 1894 ożywienie, przeciwnie bieg interesów był bardziej utrudniony, obroty w największej liczbie sklepów zmniejszyły się, zyski zostały uszczuplone.“ Wczęści sprawozdawcy przypisują to wpływowi aury, gdyż jesień i zima w roku 1895 były łagodne. Natomiast dalej twierdzą, że handlarze mający klientelę przeważnie rolniczą odczawają ogól-

ne złe położenie tej ludności: obroty zmniejszają się i publiczność żąda coraz tańszych towarów, gdyż nie jest w stanie opłacić lepszych gatunków. A dalej: „ożywienie przemysłowe, które nastąpiło przeważnie w drugiej połowie roku sprawozdawczego i spowodowane tem polepszenie gospodarczego położenia robotników nie zdążyło jeszcze pociągnąć za sobą ożywienia w tych gałęziach handlu.“ — Podobnie też stały rzeczy w handlu kolonialnym.

Sprawozdawcy więc z góry przypuszczają, że wraz z polepszeniem się ogólnych konjunktur w przemyśle polepszy się też dola robotników. Zobaczmy, co mówią cyfry sprawozdania.

W kopalniach węgla liczba zatrudnionych robotników wzrasta z 48928 w roku 1894 do 49230 w 1895. Liczba kobiet zatrudnionych zmniejszyła się nieco 4090—3937, przytem robotnicy ci byli zatrudnieni 275,8 dni, to jest o 5,5 dni więcej niż w roku 1894, jednakże zawsze jeszcze liczba dni pracy pozostała mniejszą o 0,2 dnia w porównaniu z przeciętną za lata od 1887—1894. Przeciętny zarobek dorosłego mężczyzny wynosi 792,3 marek, t. j. robotnik ma do rozporządzenia 2,15 marek dziennie. Dorosła robotnica zarabia rocznie 246,9 t. j. ma do rozporządzenia dziennie niecałe 0,70 marek. Jakkolwiek więc zarobki robotnika dorosłego podniosły się w porównaniu z rokiem przyszłym o 11,3 marek, a kobiety o 3,7 marek. To powiększenie zarobku, przy powiększeniu jednoczesnym dni pracy o 5,5 świadczy, że w kopalniach zarobki nie powięszyły się, chociaż wydajność pracy zwiększa się. Wynosiła ona na głowę 339,8 ton w roku 1895, a tylko 324,3 ton w roku 1894, czyli że robotnik wytworzył, więcej rocznie o 15.5 ton po 1000 kg. przy takim samym zarobku.

W kopalniach rudy żelaznej wraz z mniejszeniem produkcyi zmniejszyła się liczba robotników męskich z 2463 na 1984 i kobiet z 1519 na 1158, jednakże dzięki ulepszeniom technicznym, (jak widzieliśmy wzrosła siła motoryczna maszyn) podnosi się wydajność produkcyi na głowę z 139,17 ton do 148,88 ton. Dorosły robotnik zarabia tu tylko 505,98 marek rocznie, kobieta 232,67 czyli robotnik ma do rozporządzenia tylko 1,38 m. dziennie, kobieta 9,64 marek. W porównaniu z rokiem 1894 zarobki powiększyłysię zaledwie o 5 marek rocznie dla mężczyzny, pozostały bez zmiany dla kobiety.

Podobnie stoją rzeczy w kopalniach rud ołowianych i cynkowych: liczba robotników zmniejszyła się z 7828 do 7703, kobiet z 2569 do 2336. O płacy dowiadujemy się, że zmniejszyła się (cyfr nie podano) pomimo, że wartość produkcyi podniosła się o 17,9%. Przy wielkich piecach pracuje 2937 mężczyzn i 599 kobiet; liczba wzrosła w porównaniu z rokiem 1894 o 14 mężczyzn i 65 kobiet, suma zaś produktu wzrosła o 12 000 ton. Praca więc stała się wydajniejszą, płaca zaś została obniżoną dla mężczyzn z 812,42 marek rocznie do 807,91, a płaca kobiet z 338,48 marek do 332,40 marek.

W walcowniach powiększono liczbę mężczyzn z 12 375 do 13 384, liczbę kobiet z 483 do 497, liczbę chłopców z 396 do 410, liczbę dziewcząt z 12 do 28. Zarobki wynoszą: dla mężczyzn 789,9, dla kobiet 308,2, dla chłopców 341,5; przyczem zarobki kobiet i mężczyzn polepszyły się o 6 marek rocznie, zarobki chłopców pogorszyły o 9 marek. Wartość zaś produkcyi wzrosła o 15,2%.

Tak samo ma się z produkcyą cynku w której pracuje 5882 robotników i 1661 kobiet. Zarobek mężczyzn wynosi 811,5, a kobiet 310,75 marek.

W fabrykach kwasu siarczanego pracuje 461 robotników, 64 chłopców, 29 kobiet. Zarobek roczny zmniejszył się dla robotnika z 951 do 888 marek, zarobek kobiet z 376 do 325, wartość produktu zwiększyła się o 137 000 marek.

W koksowniach pracuje 2255 robotników (o 157 więcej), chłopców 82 (o 17 więcej), kobiet 1023 (o 98 mniej). Zarobek roczny mężczyzny wynosi 754 marek (o 22 marki więcej), chłopca 398 (o 12 więcej), kobiety 316 (o 6 mniej). Wartość produkcyi wzrosła o 6%.

W odlewniach żelaza liczba robotników wynosi 2016 (o 305 więcej), liczba kobiet 18 (o 4 mniej), liczba chłopców 121 (o 29 więcej). Zarobki obniżyły się dla mężczyzn z 759 do 710, dla chłopców z 244 do 202, dla kobiet z 245 do 241.

W fabrykach blachy cynkowej pracuje 636 robotników, 9 kobiet, 40 chłopców; zarobki cokolwiek podwyższone. W fabrykach drutu pracuje 2421 robotników, 86 kobiet, 77 chłopców, 7 dziewcząt; zarobek mężczyzn zmniejszył się.

Obraz jak widzimy nieponętny. Dla uwypuklenia go zbieramy cyfry podane w sprawozdaniu w całość. Wtedy okazuje się, że w gałęziach przemysłu: kopalnie rudy żelaznej, kopalnie ołowiu i cynku, wielkie piece, walcownie żelaza i stali, huty cynkowe, huty ołowiu i srebra, kopalnie węgla, fabryki kwasu siarczanego, koksownie — pracowało:

Rok.	Robotnik. mężczyzn.	Kobiet.	Nieletnich*).	Z płacą rocz. marek.
1895	83,619	9,456	1801	66,871,333
1894	81,758	10,048	1772	65,043,613
	+ 1,861	— 592	+ 29	+ 1,027,720

A zatem te gałęzie najważniejsze zatrudniały więcej 1298 sił roboczych i zapłaciły za nie więcej przeszło milion marek. W roku 1894 jedna siła robocza (bez różnicy wieku i płci) kosztowała rocznie 697,1 marek, w roku 1895 — 704,8, to jest więcej o 7,7 marek. Ponieważ jednakże liczba nieletnich prawie się nie zmieniła, liczba kobiet zmniejszyła się, a liczba mężczyzn wzrosła, więc jakość tej siły przeciętnej jest znacznie lepszą i koszt jej raczej się zmniejszył. Ztąd wniosek, że ożywienie przemysłowe tymczasem doprowadziło do stosunkowego obniżenia płacy roboczej. Nic więc dziwnego, że kupcy detaliczni nie mogli mieć większej i bogatszej klienteli.

Położenie staje się jeszcze bardziej jaskrawe, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że ceny żyta podniosły się cokolwiek, w porównaniu z rokiem 1894 (przeciętnie około 0,75 marek za 100 kg).

Sprawdza się zatem na robotniku szląskim dowiedziony już stokrotnie fakt, że przy lepszych konjunkturach przemysłu położenie robotnika poprawia się bardzo powoli. Na teraz skorzystał tyle tylko, że przeszło 1000 głów znalazło zatrudnienie, stracił zaś na zarobkach. Czy położenie jego polepszy się na przyszłość z dalszym

*). Poniżej lat 16.

Stefan Żeromski.

„TABU“.

Pani Ewa, wysiadłszy z pociągu, szybko minęła dworzec i znalazła się na błotnistym jego dziedzińcu. Stał tam rozklekotany powóz, zaprzężony w parę koni bardzo starych i wychudłych. Ujrzawszy przybyłą właściciel „dryndy“ tęgiem smaganiem obudził ze snu konika i z hałasem bliżej podjechał.

— Możecie mię zawieźć do szpitala? — spytała go pani Ewa.

— Dla czegóż znowu nie mam zawieźć? Od tego tu dzień dnia stoję. Pani wiezie chorego?

— Nie, jadę sama... odwiedzić chorego.

— No to jeżeli łaska pani może wsiadać.

— A ileż wy za to będziecie żądali?

— Ij... bagatelka! Pół rubla mi wielmożna pani połasujesz całego kramu...

Pani Ewa wsiadła i stary wehikuł zaczął podskakiwać i dzwonić na kamienistym i pełnym wybojów gościńcu. Gdy szkapy przebyły całą długość miasteczka i wyciągnęły dorożkę za ostatnie chaty na szczere pole, ukazał się w oddali szereg budynków szpitalnych. W czystem i nasyconem światłością powietrzu wiosennem na tle nowozrodzonej, kwietniowej zieloności pól i łąk — te ogromne ceglaste domy tkwiły ponuremi bryłami. Pani Ewa przyglądała się im i okolicy z pewnem zdumieniem. Jadąc tamtędy po raz pierwszy z chorym mężem przy końcu lutego, w samym momencie nieszczęścia prawie tego krajobrazu nie widziała. Przypominały się tylko jej pamięci niektóre rzeczy: małe, chorowite zimą i latem drzewko przydrożne z urwaną gałęzią, smutne, jak widok człowieka bez ręki, — pochylony słup wiorstowy, nagły zakręt drogi... Z miękkiego widoku pól wyrywały się one z okrutną tyranią i stawały przed jadącą, niby bezlitośne narzędzia przeżytej tortury. W miarę zbliżania się do szpitala przybywało ich coraz więcej. Gdy dorożka stanęła przed gmachem frontowym, pani Ewa wysiadła, opłaciła woźnicę, z trudem odemknęła ciężkie drzwi wchodowe i udała się na piętro po szerokich, kamiennych schodach. W kancelaryi zastała młodego lekarza, zawiadowcę tego właśnie oddziału chorych mniej niebezpiecznie, do liczby których mąż jej należał. Doktorek rozmawiał z nią życzliwie, a więcej niż życzliwie przyglądał się jej pięknemu, pobladłemu obliczu; uspokoił ją kilkoma frazesami, brzmiącemi bardzo naukowo, jakie zapewne wypowiadał zawsze do żon, sióstr i matek, odwiedzających jego pacyentów — i poprowadził ją na dół przez szeroki dziedziniec do parterowego budynku, stojącego oddzielnie wśród martwego ogródka.

— Długo pani z nim siedzieć nie dam, — mówił, wchodząc na korytarz, przecinający wzdłuż dom cały.

— Dobrze, panie doktorze.

— Naprzód pani sama poczeka w mieszkaniu siostry Julii, później jego wprowadzę i chwilę z wami posiedzę, bo, widzi pani, on bywa jeszcze czasami rozdrażniony. Potem wyjdę na korytarz. Gdyby był niespokojny — zaraz się zjawię.

— Dobrze, panie doktorze.

Minęli kilka drzwi zamkniętych i stanęli przed szóstemi z prawej strony. Doktór otworzył je cicho swoim kluczem i wszedł do izby, służącej za rozmównicę. Pani Ewa zatrzymała się w pobliżu drzwi, a gdy lekarz wyszedł, usiadła na małej kanapce. Smutki, obawy, zgryzoty i niepokoje, władające na przemiany jej istotą aż do tej chwili — jedne po drugich ją opuszczały. Z głębi ich wypływał mężny i mocny spokój, heroizm dusz bardzo cierpiących. Wkrótce drzwi się otworzyły i wkroczył do pokoju człowiek młody, chudy, z włosami roztrzepanemi i ubraniem w nieładzie. Jego bladoniebieskie oczy wytrzeszczone i nieruchome błyszczały złowieszczo, usta spalone gorączką drgały bolesnemi ruchami, a zeschły język napróżno je usiłował zwilżyć co chwila. Obłąkany zdawał się nie zwracać uwa-

rozwojem? Na to pytanie stanowczo odpowiedzieć nie możemy. Zapotrzebowanie robotników według wszelkiego prawdopodobieństwa wzrosło już w roku bieżącym i wzrastać zapewne będzie, jednakże ów tysiąc zatrudnionych po nad liczbę roku 1894 nie wyczerpał zapewne armii rezerwowej, a prócz tego wobec nędznych zarobków wiejskich robotników, podaż zostaje ciągle zwiększoną ze strony tej kategoryi. Ponieważ zaś, polski robotnik należy do najmniej opornych, gdyż zupełnie niezorganizowanych, zatem wielkich nadziei żywić nie można, żeby los jego się polepszył prędko w obecnym okresie rozkwitu. *J. B. M*

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Coraz lepiej.

W „G a z e c i e G d a ń s k i e j“ (Nr. 114) czytamy:

„Wpływ hakatystów sięga aż do sfer rządowych, a tak z ław ministeryalnych jak i z biór najniższych urzędników powiatowych padają nietylko pogróżki, ale wprost gromy mające na celu tłumienie żywiołu polskiego.

Jedną z takich oznak nastarcza nam świeżo sprawa opalenicka, której przebieg znają czytelnicy nasi dokładnie. Otóż krzyki hakatystów dokazały tyle, że, pomimo iż śledztwo nie całkiem ukończone a sprawa dopiero przed kratkami sądowemi należycie wyświeconą zostanie, — już teraz najwyższa władza poznańska tj. krol. rejencya przez pisma niemieckie oświadcza, iż wydała rozporządzenie, ż e t a k s a m o o s t r o k a r a ć b ę d z i e k a ż d ą m o ż l i w ą p o l s k o - n a r o d o w ą m a n i f e s t a c y ą, jak i bronić będzie praw ludności k a t o l i c k i e j do stosownego wyrażenia uczuć religijnych i czci dla zwierzchnika duchownego. Czyli innemi słowy, wolno ludowi polskiemu przyjmować swego arcypasterza, lecz nie wolno się przytem różnić od Niemców nawet ubraniem, gdyż w niewinnej czamarce lub maciejówce mogliby i z pewnością dopatrzyliby się szowiniści narodowopolskiej demonstracyi i znowu byłby „vaterland in Gefahr.“

* * *

Zamach na polskie nazwy.

Z prowincyi piszą do „D z i e n n i k a P o z n a ń s k i e g o“:

„Prezes rejencyi bydgoskiej wydał władzom podwładnym rozkaz, aby przeprowadzili coprędzej zmianę pisowni nazwisk miejscowości, mających litery i brzmienie czysto polskie, i tak ę ma być zastąpione przez en, ą zastąpione przez on itd. Podwładni urzędnicy rozporządzili teraz sołtysom i właścicielom dóbr, aby w pisowni odnośnych miejscowości unikali używania tych polskich liter, które w języku niemieckim nie zachodzą. Wszystkie miejscowości obwodu bydgoskiego zapisane są z tego powodu całym szeregiem ukazów, dotyczących zmiany tablic miejscowych i zagrożeń płacenia kar, jeżeliby nadal mieli zastępcy wsi używać dotychczasowej pisowni. Dąbrowa ma się pisać Dombrowa, Głębokie Glebokie, Kędzierzyn Kendierzyn, Odrowąż Odrowonz i t. d.

Wszelkie remontracye i powoływania się na hipotekę nic nie pomogły, a odpowiedzi od ministerstwa, do którego gmina Kędzierzyn, broniąca energicznie i stale swego „Kędzierzyna“, z zażaleniem się udała, dotychczas nie ma. Wszystkim interesowanym dajemy radę, aby zaraz po odebraniu rozporządzenia zmieniającego pisownią, wytoczyli skargę przed wydziałem powiatowym przeciwko tej władzy, od której ukaz wyszedł, a więc zwykłe gminy przeciwko komisarzowi dystryktowemu, a właściciele dóbr rycerskich przeciwko landratowi. Przepisy szczegółowe co do sformułowania skargi znajdują się w §§ 127—130 prawa z dnia 30 lipca 1883 roku.

Do posłów naszych zanosimy zarazem prośbę, aby zaraz po zjechaniu się sejmu, który w drugiej połowie przyszłego miesiąca zwołać mają, stawili nagły wniosek z interpelacyą ministra spraw wewnętrzych co do rozporządzeń rejencyi bydgoskiej. Sprawy leniwo traktować nam nie wolno, bo pan Tiedemann, prezes rejencyi bydgoskiej, uskromniwszy się z brzmieniem nazwisk polskich wsi, gotów wziąć się do oczyszczenia nazwisk osób z liter polskich i przepisać ortografią Kąkolewskim, Dąbrowskim, Prądzyńskim itd. Jest więc obowiązkiem tak mieszkańców wsi interesowanych, jak i posłów naszych, aby sprawy energicznie dopilnowali“.

—ski.

Szkoła i wychowanie.

Wyższe studya kobiece *w Polsce.*

W ostatnich czasach zajmowano się w Poznaniu jak i w Poznańskiem w ogóle wiele sprawą kobiet. I prasa wzięła gorący udział w ścieraniu się rozlicznych opinii w tej kwestyi — pisano mianowicie obszernie, i to prawie we wszystkich gazetach wielkopolskich, przeciw rozszerzającej się coraz ogólniej modzie wysyłania panien za granicę na t. zw. dokończenie edukacyi. Kobieta powinna być li tylko aniołem domowego ogniska, matką rodziny, cichą towarzyszką mężowi — dowodzono w jednych — a jako takiej, motywowano dalej arcylogicznie, wystarczyć jej powinno koniecznie proste, skromne wychowanie domowe, lub co najwyżej na jednej z pensyi poznańskich. Tu znajduje ona sposobność, aby nietylko nabrać zwykłych, dla przeciętnej panny „z towarzystwa“ potrzebnych wiadomości, ale jeszcze w dodatku może zadowolić i wykształcić upodobania swe i talenta artystyczne. — a więc nauczyc się pięknie grać na fortepianie, troszkę śpiewać, a nawet i trochę malować! — A choćby i dobrze było, żeby dziewczyna trochę świat zobaczyła i języki rozliczne posiadła a talenta gruntowniej wykształciła — twierdzono w innych pismach wielkopolskich i salonach stołecznych i prowincyonalnych, — to pocóż wyrzucać pieniądze za granicę, pocóż nasz krwawo zapracowany grosz w tych tak ciężkich czasach jeszcze obcym dawać?.. — W tym

---

gi ani na przybyłą, ani na lekarza — wymijał ich niedbale i krzyczał ochrypłym głosem:

— Wojciech Jastrzębowski napisał agronomię, a ja Henryk Dąbrowski oprę na szerszym gruncie socyologicznym cebulonię altruistyczną...

Rzucił nagle okiem i jakby dopiero wówczas dostrzegł Ewę. Wnet zbliżył się do niej i podsuwając do oczu zeschły i ogryziony kawałeczek skóry sera szwajcarskiego, mówił:

— Patrz, moja ślubna żono, przypatrz się z łaski swojej, co ja gryzę, co ja liżę, co ja oblizuję z nadzwyczajnym apetytem...

— Panie Dąbrowski — rzekł doktór — czy to ładnie wcale się nie witać z żoną? Przyjechała odwiedzić pana, pogadać, a pan tak? Pocałuj ją pan zaraz w rękę!

Chory patrząc na niego zdradzieckiemi oczyma, chodził po izbie.

Doktór nieznacznie przyszedł do drzwi, otworzył je prędko i wysunął się z pokoju. Wtedy pani Ewa wydobyła z niewielkiego koszyka skrzyneczkę cukierków, otworzyła ją i podała mężowi. Rzucił się zaraz do cukierków, nabrał garść pełną i wpakował sobie w usta. Przełknąwszy pierwszą porcyę, złapał drugą, trzecią, wreszcie chwycił pudełko i wylizał okruszyny. Gdy już z pomadek nie zostało ani śladu, spojrzał na żonę i zaczął gadać na nowo. Nie przerywając swej wędrówki, wyrzekł kilkakroć wśród istnej powodzi wszelakich wyrazów:

— Ewunia, Ewunia...

Usiłowała wziąć go za rękę i posadzić obok siebie, ale się jej wydarł, — więc sama przysiadła na łóżku i oparła głowę na rękach. Dotknąwszy się jego ciała, jego dygocących dłoni z nabrzmiałemi żyłami, znowu uczuła w sercu ostrze włóczni, która jej życie przebiła. Szybkiemi pociskami myśli podobnemi do błyskawic, obejmowała ciemne noce, przeżyte w tym domu przez jej nieszczęśliwego męża, noce podobne do tajemniczych przestworów, zalanych przez martwe wody, nad któremi wisi ciemność wiekuista. W ciągu pojedyńczych minut usiłowała zdrowemi nerwami wyczuć i zmierzyć okropne jego boleści, straszliwe trwogi, — zapomocą potężnego skupienia całej swojej istoty zażyła się złamać wejście do wnętrza tego lochu, spokojnie rozpatrzeć sekrety tamtego potwornego kraju — i walczyć. Ach, walczyć! Wszak po to przyjechała. Zebrać potęgi duszy, jakiemi tylko człowiek włada i uderzyć w nieznanego wroga. Jeżeli to jest zły duch — to ucieczce, jeżeli to jest rana — to się zagoi, jeżeli to jest sama bojaźń — to ustąpi, jeżeli jakiś ból niepojęty — to się uśmierzy...

Obłąkany zatrzymał się przed nią na chwilę, później usiadł na łóżku i już to ziewał przeraźliwie, już szeptał do siebie. Objęła go z najczulszą miłością, przycisnęła jego głowę do piersi i zaczęła mówić cichym natchnionym głosem:

— Henryku, posłuchaj uważnie, Henryku... Powiedz mi, co tobie jest, co tobie się wydaje... Powiedz mi to wyraźnie, żebym ci mogła wytłómaczyć. Namyśl się dobrze, a zobaczysz, że ja cię bez niczego wyleczę. Czy się ty boisz jeszcze ciągle?

Chory milczał, patrzał w ziemię i wykonywał swe dziwaczne giesty.

— Czy ty się boisz jeszcze ciągle? — szeptała pani Ewa, przytulając się do niego całem ciałem. Głos jej brzmiał tak dziwnie że gdyby była w stanie dźwięk jego świadomie posłyszeć — wcaleby go za swój nie uznała.

— Ach, ach... — szeptał Dąbrowski.

Umilkła, pochłonięta przez nadludzką pracę swej duszy. Chciała w owej chwili przelać wysiłkiem woli w chorego swe zdrowie, niewidzialnemi rękoma szukała w ciemności ran jego duszy, wdzierała się dla poznania wszystkich jego cierpień po jakichś szczeblach niepojętych...

— Pomyśl sobie teraz — mówiła — pomyśl w tej chwili i zawsze później myśl to samo, ile razy do ciebie bojaźń przystąpi..

ostatnim chórze najwięcej brzmi głosów, a jednak wielkopolanki, chociaż przeważna ich liczba wtóruje dotąd echu piewców cnót tylko domowych, w coraz liczniejszych szeregach rwą się do nowszych prądów, uczuwają pragnienie zdobycia wiadomości szerszych i wyższych, któreby nietylko talent ich rozwinęły, ale i umysł i wiedzę wzbogaciły i w danym razie, właśnie z powodu onych ciężkich czasów, i chleb w rękę dać mogły. Mamy wprawdzie w księstwie seminarya nauczycielskie jak w Poznaniu, Bydgoszczy, Gnieźnie, ale kandydatek do zawodu nauczycielskiego coraz liczniejsze mnożą się zastępy, egzamin Polkom bywa utrudniany, a posady nauczycielskie z powodu nadmiernej konkurencyi na tem polu stają się tak mało korzystne, że kobiety nasze po prostu zmuszone są zwracać się gdzieindziej, szukać szerszej wiedzy, by nieco wyższe zdobyć stanowisko. Inne, które mniej potrzeba materyalna, a więcej jakaś chęć zobaczenia innego świata i ludzi, chęć zdobycia hen! gdzieś w dalszej stronie jakiegoś świetniejszego, niż inni śmiertelnicy, poloru i blasku, a może nawet nieokreślona i nieuchwytna jeszcze przez nie żądza wiedzy pcha naprzód, — łączą się z gromadą pierwszych, a wszystkie, aby dojść do celu swych najwyższych żądań i marzeń, udają się na pensye do Wrocławia lub Drezna, wreszcie do Berlina, albo, i to najczęściej, w ostatnich czasach do Belgii, do którego z tamtejszych klasztorów wychowawczych. Przedmiot naszej starej sympatyi, ta zawsze zwodnicza i niestała a przecież zawsze modna Francya pociąga po dawnemu panie nasze z nieprzepartą siłą. Sacré coeur w Paryżu, pensyonaty klasztorne w Beau-Geney, Boulogne, Gravelines, Mlou itd. stały się dla nich nęcącem źródłem nauki. Znana pod firmą „Hôtel Lambert" instytucya naukowa bywa najliczniej odwiedzaną.

Wróciwszy do kraju, wykształcone tak wielkopolanki nasze mówią po francusku, po niemiecku, nawet trochę po angielsku, a niekiedy posiadły w wyższym stopniu sztukę malarstwa lub muzyki, co może im dać chleb pożądany, lub stosownie do okoliczności pomaga błyszczeć w salonach i zostać może prędzej podporą jednego z licznych „filarów społeczeństwa". Pomimo tak widocznych zalet i korzyści, głosy niezadowolenia nie cichną, a łączą się do nich coraz nowe, pytając, czy panienki młode, pozostające dłuższy czas za granicą, zanim jeszcze zdołały lub probowały zbadać dokładnie język, literaturę i historyę ojczystą, zanim miały czas poznać stosunki i potrzeby swego społeczeństwa, — wrócą do kraju patryotkami i użytecznemi pracownicami swego narodu? Czy powróciwszy w rodzinne strony, zdołają pojąć i ocenić zadanie, jakie im pośród swego społeczeństwa spełnić należy? Czy odwykłe od skromnych i prostych stosunków naszych, nie poczują się tu obcemi? Czy ich razić nie będzie to, czego nie nauczyły się zawczasu kochać?

I wiele jeszcze takich lub innych powodów wygłaszanych lub pisanych mieliśmy w ostatnim czasie sposobność poznać. Wypływa z nich, że większość społeczeństwa zdaje się być wrogo usposobioną przeciw szukaniu wiedzy za granicą, a mimo to tak wiele jednostek działa wbrew opinii ogółu?

Gdzież przyczyna tej walki z opinią? Jeden z motywów podaliśmy już na wstępie artykułu, drugim jest brak wyższych instytucyi naukowych dla kobiet w Wielkopolsce. Doszło już do nas lekkutkie może, ale zawsze jakieś tchnienie tych wielkich prądów wiejących na szerokim świecie, gdzie kobiety usiłują wydobyć się z upokarzającego je stanu bezczynności i zawisłości — osięgnąć naukę szerszą, niezależność, chleb. I u nas kobiety zaczynają odczuwać instynktownie, że im się należy coś więcej, niż te skromne dawki nauki, które tu otrzymują i, że nie idąc naprzód, cofają się wstecz i pozostają coraz dalej i dalej za wszystkimi — za ogółem całym! Bo czemuż w czasie, gdy idee postępu opasują coraz silniej potężnem ramieniem wszelkie warstwy społeczne, — gdy uznajemy potrzebę oświaty dla ludu, stwarzamy mu szkoły, potem czytelnie ludowe, a dalej kółka włościańskie i rolnicze, ba! marzymy nawet o uniwersytetach ludowych, — gdy nie dziwimy się wcale, że chłopi teraz już powszechnie prawie trzymają wedle swych opinii rozmaite gazety i gazetki ludowe — gdy średnie warstwy rzemieślnicze mają odpowiednie ich położeniu społecznemu i wymaganiom szkoły wieczorne i niedzielne, czytelnie, stowarzyszenia, pisma, które podtrzymujemy i z których dumni jesteśmy — gdy nie mówiąc już o wyższej inteligencyi miejskiej, nawet synowie obywateli wiejskich wbrew dawniej rozszerzonym zwyczajom garną się do książki, do szkół i uniwersytetów, aby straciwszy ziemię nie stracić chleba i stanowiska społecznego — dlaczegoż kobieta ma w obec ruchu na polu nauki i postępu być pominiętą, pozostać w tyle na niskich szczeblach oświaty, wystarczających jej ongi?

A więc emancypacya? Tak i nie, — zależy jak kto emancypacyę pojmuje. Ten prąd, który w całej Europie umałoletnioną połowę ludzkości przenika, mimo wszystkich deklamacyi na temat „dobrych gospodyń" i „aniołów ogniska domowego" powstrzymać się nie da. Idzie jak fala, zbliża się do nas i nawet konserwatywną Wielkopolskę unosić zaczyna. Chodzi tylko o to, czy prąd ten wymaga emigracyi kobiet naszych do Francyi i Niemiec, czy też może w obrębie kraju, lubo nie w Poznańskiem, znajdują się zakłady, które wyższym aspiracyom naukowym świata kobiecego zadość uczynić mogą. Szukajmy!

W Warszawie są konserwatorya muzyczne, szkoły malarskie i doskonali metrowie języków. Inne studya z powodu smutnych okoliczności politycznych na wielkie napotykają trudności.

O wiele korzystniej przedstawia się sprawa wyższych studyów kobiecych w starej stolicy Jagiellonów.

Oprócz sposobności wykształcenia się w konserwatoryum pod kierunkiem Zeleńskiego i następcami znakomitego Galla, mamy tam instytucye, w których podają nam w polskim języku i w polskim duchu naukę wyższą, odpowiednią potrzebom umysłu i zadanom kobiety. Mówię tu o „kursach t. zw. dopełniających przy szkole żeńskiej św. Scholastyki" i o „kursach wyższych naukowych dla kobiet imienia dr. A. Baranieckiego". Z pierwszych, ponieważ trzeba tam składać egzamina wstępne, które są warunkiem przyjęcia, trudnoby było korzystać panienkom, kształcącym się w innych dzielnicach Polski i w zupełnie innych warunkach, — drugie zrodzone i w idealnej myśli stworzenia obfitego źródła, z któregoby wszystkie kobiety polskie pełną dłonią wiedzę i ducha polskiego czerpać mogły, są dla wielkopolanek odpowiedniejsze i na gorące zasługują poparcie. Twórcą ich był dr. Adryan Ba-

---

— Ona jest za wszystkiemi rzeczami, za wszystkiemi rzeczami, osobno, sama jedna...

— Nie bój się! Powiedz mnie tylko twojej Ewuni. Ja ci to wszystko zaraz wytłomaczę! Czego?

Podniósł głową i spojrzał na nią dawnemi, ukochanemi oczami. Na twarzy jego malowała się niewysłowiona boleść. Przytulił się do żony i mówił jej tajemniczo do ucha:

— Wezmą mię..

— Ja ci zaraz wytłomaczę! Weź mię za rękę, o tu, trzymaj mię mocno! Czyż cię nie kocham?..

— Znowu mię wezmą, znowu mię wezmą... — jął mówić, patrząc na nią szeroko roztwartemi oczami. Nagle zerwał się, zaczął chodzić po izbie, potrząsać głową i wykrzykiwać swoje:

— Wojciech Jastrzębowski napisał agronomię...

Ręce, w których pani Ewa trzymała głowę męża, bezsilnie, jak martwe opadły. Zaczęła płakać. Niewyczerpane łzy płynęły po jej twarzy, łzy, które nie zabierają z serca boleści, lecz wynoszą zeń życie, łzy, co uchodzą z człowieka, jak uchodzi krew z żył poprzecinanych... Obnażały one jakąś ranę, odsłaniały jakąś mieliznę w duszy, pokazywały samo dno cierpienia...

Nie przemogła złego. Nic nie nada miłość. góry jakoby z miejsca na miejsce nosząca, nie poradzi wola nad wszelkie trudy mocniejsza i wytrwałe męstwo i ślepa wiara w ratunek sprawiedliwości. Patrzała w ziemię i nie podnosiła głowy. Chory znowu siadł obok niej i rozprawiał. Przez łzy widziała jego dzikie oczy, trzęsącą się głowę, ruchy niespokojnych rąk, czaszkę, w której już nic nie było, bezużyteczny kadłub zwierzęcy...

— Gdzież jest twoja nieśmiertelna dusza? — myślała w uściskach strasznego żalu. Tę myśl, jak szpadę wbijała w swe serce i zadawała mu cios po ciosie — aż do dzikiego okrucieństwa.

Nagle chory trącił ją w ramię. Spojrzała na niego i śmiertelnie zbladła. Miał na twarzy wyraz wstrętnej lubieżności, uśmiechał się i wykonywał ohydny giest błagalny. Porwała się z miejsca i jednym skokiem rzuciła ku drzwiom. Obłąkany chwycił ją w pół drogi. Wtedy drzwi się szybko otworzyły i lekarz odsunął waryata w kąt izby, ująwszy go potężną ręką za klapy surduta. Pani Ewa wybiegła na korytarz, trafiła do wyjścia i znalazła się na brukowanem podwórzu. Idąc po kamieniach, w pewnych odstępach czasu głęboko i głośno, prawie z krzykiem łkała, nie roniąc łzy ani jednej. Była niemal pewną, że trzewiczki jej, uderzając o te kamienie, depcą, krzywdzą i nękają jakieś istoty nieszczęsne. Bez pojęcia dokąd idzie, znalazła się w bramie, prowadzącej na dróżkę uboczną. Ten szlak błotnisty, niedawno w bezużytecznym gruncie wyżłobiony, doprowadził ją na gościniec. Szła tamtędy, nie podnosząc głowy, nie będąc w możności oderwania oczu od ziemi i ani powstrzymania, ani zwolnienia kroku. Ruch machinalny i bezwładny, ruch rzeczy popchniętej wstrzymał ją od głośnego krzyku. Na drodze bitej stały tu i owdzie płytkie kałuże szarej wody. Gdzieniegdzie widniał na błocie ślad bosej nogi. Przed idącą — od jednej kałuży do drugiej — przelatywała mała pliszka. Ptak ten sfruwał z miejsca, gdy pani Ewa zbliżała się zanadto, mknął po linii falistej do następnego błota, tam wstępował w wodę, maszerował po niej w rozmaitych kierunkach, przekrzywiał główkę i za pomocą badawczych spojrzeń sporządzał jakieś ekonomiczne obserwacye. Kiedy niekiedy pliszka z cicha pogwizdywała, jakby z gniewem... Oczy pani Ewy, które od chwili wyjścia ze szpitala widziały tylko jakby zwłoki przedmiotów, poczęły się teraz trzymać małej ptaszyny, niby trwałego i żywego punktu.

— Jakaś ty szczęśliwa, jakaś ty szczęśliwa... — szeptały do pliszki jej drżące usta.

(Dokończenie nastąpi.)

raniecki, mąż o umyśle wzniosłym, o charakterze czystym jak łza, o sile woli niezłomnej, gdyż myśl raz powziętą i za słuszną uznaną nietylko w czyn zamienić umiał, lecz i stworzonemu dziełu wbrew wszelkim przeciwnościom materyalnym i moralnym upaść nie pozwolił. Osobistość ta niepośledniej miary, czy dla wielkich zdolności, czy dla hartu i piękności ducha, pomimo ogromnych zasług położonych około reformy społeczeństwa, zarówno w dziedzinie stosunków przemysłowych i przemysłowo-edukacyjnych jak na polu wychowania i wykształcenia kobiet, — osobistość ta, której pamięć gdzieindziej otoczonoby czcią i miłością, u nas niestety mało jest znana w szerszych kołach narodu.

(Dokończenie nastąpi.)

Wielkopolanka.

LITERATURA I SZTUKA.

Szkice Tretiaka.

(**Dr. Józef Tretiak.** Szkice literackie. serya I. Kraków, Spółka wydawnicza, druk. Czasu, 1896, w 8-ce str. 331 i 1 nl.)

W ostatnim czasie coraz to częściej spotkać się było u nas można z wydawnictwem często praktykowanem w innych piśmiennictwach tj. z wydaniem zbiorowem rozpraw i pism pomniejszych wybitniejszych współczesnych autorów, krytyków, estetyków, historyków itd. Wielkie pod tym względem obok innych poniosła dla literatury polskiej zasługi Księgarnia Spółki Wydawniczej w Krakowie, która w swej „nowej bibliotece uniwersalnej“ po zbiorowem wydaniu dzieł ks. Kalinki oraz dotąd jeszcze się ukazujących „Studyów do historyi literatury polskiej“ prof. Tarnowskiego świeżo puściła w obieg seryę studyów literackich jednego z wybitniejszych naszych krytyków i historyków literatury prof. J. Tretiaka.

Są to studya pomniejsze, które w ostatnim głównie lat dziesiątku ukazywały się w „Przeglądzie Polskim“ „Tygodniku illustrowanym“, „Świecie“, „Ateneum“, „Przewodniku naukowym i literackim“ itd., wszystkie zaś, z wyjątkiem pierwszego i ostatniego z rzędu, odnoszą się do dziejów poezyi romantycznej i najnowszej literatury.

Rozprawa naczelna „o satyrach Krasickiego“, ogranicza się głównie do rozwiązania dwóch tylko pytań: Jakie światło rzucają na samego poetę? Jakie stanowisko zajmują w pokrewnej, współczesnej poezyi polskiej? Odpowiada nam na to krytyk, iż satyry pozwalają wejrzeć głębiej w duszę poety i odkryć w niej to, czego nam biografia, oparta na innych świadectwach, nie może ukazać, a mianowicie, że jakkolwiek katastrofy polityczne ówczesne przyjmował poeta jakby fatalistyczne niejako wypadki, którym zaradzić nie można, stan moralny narodu żywo go obchodził i wobec niego nie zakładał rąk bezczynnie, lecz z całem poczuciem obowiązku człowieka, obdarzonego wyższą potęgą umysłu i wysokim talentem literackim, występował do walki z tem, co w tym stanie moralnym widział groźnego dla przyszłości narodu. Co się zaś tyczy stanowiska, jakie satyry Krasickiego zajmują we współczesnej poezyi polskiej, autor nie waha się nazwać ich „najwyższym, najdoskonalszym, najharmonijniejszym utworem tej poezyi, wierzchołkowym jej punktem, — tem w okresie stanisławowskim, czem „Pan Tadeusz“ był w mickiewiczowskim, bo w nich satyryczny duch okresu najharmonijniej się wyraził, jak patryotyczny w mickiewiczowskiej epopei“.

Druga z rzędu rozprawa zatytułowana „Mickiewicz i Trembecki“ należy do szczupłej liczby tych rozpraw w literaturze naszej, które zajmują się szczegółowo wyjaśnieniem wzajemnego wpływu poetów pod względem stylu i języka. Do jak ważnych zaś rezultatów dojść tą drogą można, dowodem najlepszym rozprawa powyższa, w której autor wskazuje widoczne ślady wpływu Trembeckiego na poezye Adama, w którego początkowych zwłaszcza poezyach znalazł charakterystyczne nietylko cechy stylu autora „Zofiówki“, ale nawet dużo żywcem przejętych wyrażeń i stylowych reminiscencyi.

Oprócz tej powyższej trzy jeszcze dalsze rozprawy odnoszą się do Mickiewicza, mianowicie „Mickiewicz w Odesie, stosunki i pieśni miłosne“, — „dwie Zosie Mickiewicza“ i „Karolina Jaenisch“. W pierwszej z nich autor „Szkiców“ skreślił nasamprzód dzieje pobytu poety w Odesie oraz tych stosunków miłości „lekkiej“, które jak łatwo się zawiązały, tak łatwo rozprzęgły, przyczem domysł jego, iż pani Hieronimowa Sołańska a bezimienna D. D., której poświęcony jest cały cykl miłosnych poezyi odeskich, są jedną i tą samą osobą, okazał się (z wydaniem biografii poety przez syna jego Władysława) zupełnie trafnem. Następnie daje nam Tretiak rozbiór odeskiej erotyki wieszcza, która w pierwszym okresie należy do czasów idealnej miłości dla Maryli, do niebiańskich zachwytów i namiętnych wybuchów cierpienia, w drugim zas do życia na poziomie odeskim wśród ponęt budzących w poecie zmysłowe uczucia. „Dwie Zosie Mickiewicza“ — Zosia w drugiej części „Dziadów“ i Zosia z „Pana Tadeusza“ należą według zdania p. Tretiaka do tej grupy utworzonych przez wieszcza postaci, które poeta „malował według żywych wzorów“. Zosia z „Dziadów“, za życia pierzchliwa dziewczyna, piękna „jak obraz Bogarodzicy“, zalotna i otoczona rojem wielbicieli, lecz śmiejąca się z ich uczuć — to według domysłu krytyka siostra przyjaciela Adama, panna Zofia Malewska, która jako „śpiewająca, piękna, obojętna dla westchnień wielbicieli“ występuje w korespondencyi poety. Drugą Zosią z „Pana Tadeusza“, we wszystkiem od pierwszej odmienną, jest zdaniem autora popartem zresztą i wyraźnem świadectwem poety, panna Zofia Maćkiewiczówna, późniejsza żona Odyńca. „Karolina Jaenisch“ jestto skreślony na podstawie nieznanych dotąd materyałów, podanych przez p. Władysława Mickiewicza, szkic stosunku, który uważano dotąd za przyjacielski tylko, a który w rzeczywistości był stosunkiem idealnej miłości między sentymentalną, młodą i piękną niemką, a wieszczem litewskim, — miłości polegającej na wspólności poetyckiego nastroju; związkowi temu (poeta nosił się z myślą małżeństwa) stanął na przeszkodzie głównie brak narodowej spójni.

Autorowi „Balladyny“ oraz analizie dzieł jego poświęcił krytyk dwa szkice („Juliusz Słowacki“ i „Hamlet polski“). Pierwszy z nich jestto szczegółowa krytyka wydanego w drugiem powiększonem wydaniu dzieła prof. Małeckiego o Słowackim; dziełu temu zarzuca autor nasz pewną pobłażliwość i łagodność sądu przy ocenie tak pojedyńczych wypadków życia jak i utworów poety. Przy szczegółowym rozbiorze i analizie dzieł Słowackiego pod niejednym względem różni się zdanie krytyka od opinii biografa poety, a odnosi się to głownie do tych utworów Juliusza, które największy w Małeckim obudzają zachwyt. „Hamlet polski“ to według bystrych wywodów Tretiaka bezimienna tragedya Juliusza, przez Małeckiego zatytułowana „Horsztyński“, a której bohaterem nie jest ów ślepy konfederat barski, lecz najnieszczęśliwszy z ludzi, syn hetmana, Szczęsny. Dla wykarmionego bajronizmem poety Hamlet ze wszystkich sztuk Szekspira posiadać musiał największą atrakcyjną siłę, a nawet w tym młodzieńcu pełnym zwątpienia, przesytu, ironii i pogardy dla ludzi poeta ujrzeć mógł pierwowzór bajronisty i siebie samego. Wyobraźnia nasunęła Słowackiemu poecie z pewnością niepowstrzymaną chęć zmierzenia się z Szekspirem i stworzenia drugiego Hamleta, który jednakże nie miał być plagiatem, zwyczajną kopią. Ztąd potrzeba go było postawić na tle narodowego życia, tło to zaś musiało być posępnem i tragicznem, atmosfera musiała być duszną jak niegdyś w Danii, — wszystko to znalazł poeta w ostatnich chwilach rzeczypospolitej, w czasach Targowicy. Otoczył wprawdzie poeta swego bohatera w braku odpowiedniej historycznej postaci wziętego z fantazyi zmienionemi lub zupełnie nowemi stosunkami, wprowadzając np. zamiast jednej Ofelii trzy kobiety: Amelią, Marynę i Salomeję, ale pomimo to przez całą sztukę tak żywo tętnią reminiscencye Hamleta (krytyk odkrywa nawet ślad zastanawiania się bohatera na temat znanego monologu „Być albo nie być“), że nie podobna nie przyjąć rodowodu tej tragedyi podanego przez p. T. Sąd zaś ogólny krytyka o wartości artystycznej i etycznej tego utworu nie wypadł bardzo pomyślnie, a zawiera się w tych słowach, że „bez wątpienia są w tragedyi ustępy pełne dramatycznej siły, są postacie i sceny odznaczające się wielką oryginalnością, ale całość wygląda jak ruina, malownicza wprawdzie, ale tchnąca niezdrowem powietrzem; Hamlet polski jest poronionym utworem, a poronionym głównie dla tego, że ciężar tragedyi spoczął tu na człowieku, który żadnym przymiotem duszy nie zasługiwał na rolę tragicznego bohatera.

Świetną charakterystykę najnowszej epoki naszej poezyi, tego nagłego zwrotu, tego stanowczego i szybkiego przełomu w pojęciach estetycznych, jaki się na początku tego wieku w literaturze naszej uwydatnił, zawiera szkic pt.: „O głównych kierunkach poezyi polskiej XIX „wieku“. Krytyk przyczynę tego „zwrotu i przełomu“ widzi wraz z innemi w zaznajomieniu się z nowszą literaturą niemiecką i angielską, które już od pół wieku strząsnęły z siebie jarzmo francuskiego smaku, a że „i u nas wpływ jego sprawił już był wszystko, co miał i mógł sprawić pożytecznego: oczyścił język, wyostrzył rozum i dowcip, podniósł znaczenie wiedzy, ośmieszył ciemnotę“, więc skończyła się jego rola dodatnia, a walka z jałowym kierunkiem pseudoklasycznym nie była zbyt trudną i długą. Zastanawiając się zaś nad tem, jakiemi strumieniami płynęła nowa, zwycięska poezya, autor zwraca uwagę naszą przedewszystkiem na nadzwyczajną w niej obfitość i rozmaitość prądów i kierunków, co ją tak korzystnie wyróżnia od zeszłej epoki, zastąpionej tylko trzema rodzajami: satyrycznym, sielankowym, wreszcie najmłodszym patryotycznym.

Mniej ważną i przelotne więcej mającą znaczenie jest reszta szkiców ujętych w tę seryę. „Asnyk i jego liryka“ to wypowiedziana po wydaniu trzeciego tomu poezyi Elego charakterystyka jego twórczości poetyckiej a głównie porównanie tomu tego z dwoma pierwszemi nie pod względem formy, wykończenia szczegółowego, barw, melodyjności, wogóle zewnętrznej szaty, ale przedewszystkiem pod względem uczuć, myśli, prądów współczesnych, rytmicznie pulsujących w każdej żywej poezyi; „Jan Lam, talent i charakter“, to napisany po zgonie znakomitego powieściopisarza i humorysty obszerny jego nekrolog i przegląd działalności literackiej; „Pierwsze występy Sienkiewicza“, to skreślona przed laty szesnastu, gdy S. jako autor kilku nowel i powiastek zaczął być znanym i w nadpeł-

twiańskiej stolicy, krytyka tomu pierwszego wydanych wówczas jego pism (Warszawa 1880). Odmiennym zupełnie od poprzednich jest szkic ostatni: „Romans eksperymentalny“. Zawiera on ostrą rozprawę krytyka z Zolą i jego pomysłem zastósowania doświadczalnej metody jak w nauce tak i w powieści; zdaniem naszego autora, dla metody tej nie może być miejsca w literaturze. *J. Wys.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

W Irlandyi

Przez **Marcelego Prévost.**[1])

Młoda dzieweczka szła zwolna drogą. Na głowę, ramiona i ręce zarzuciła ubogą, szarą derkę, skośnie złożoną jak chusta. A pod tej wełnianej opończy, wychylała się twarzyczka owiana jasnemi pasmami włosów, drobne palce przytrzymujące brzegi chusty, i bose nóżęta niedbale stąpające po rozmiękłej ziemi. Buzia dzieweczki pełną była wdzięku i przebiegłego rozumu, a świeżą cerę podtrzymaną wilgocią klimatu, przypruszały jasne piegi, zwłaszcza pod oczami, których niebieski kolor przypominał błękit północnego nieba podczas pogodnych dni lata. Szła zwolna drogą przecinającą bezbrzeżne torfowiska, kamieniste pola, wydmy i pustkowia zasłane purpurowym wrzosem. Szła i obojętnie mijała te smętne rozłogi, nie zatrzymując nawet wzroku na sterczących szkieletach chat, których mury i wiązania odarte z dachów melancholijnie się rysowały na tle nieba. Dziwaczność tych rumowisk nie noszących śladu pożaru ani też starości, nie zatrzymywały uwagi bosej wędrowniczki, bo od dzieciństwa przywykła na to patrzeć. Wszak całość znanego jej kraju jest jakby jednem cmentarzyskiem chat wieśniaczych. Wtem spotkała idących środkiem drogi dwóch czarno umundurowanych konstablów. Powitała ich przyjaznem skinieniem głowy i nie zatrzymując się, rozminęła się z możnymi stróżami publicznego porządku, idąc dalej zwolna, obojętnie, prawie zamyślona i uśmiechnięta, pokorna, pełna poddania, a jednak wesoło, pomimo swej nędzy. Zżyła się z nędzą, i zdaje się jej, że nędza jest równie nieuniknioną jak chmury na niebie i wrzosy na rozłogach.

Ta dzieweczka o duszy dziecęcej, to Irlandya!

* * *

Killarney.[2])

Wsiadłem do publicznego *car'u* kursującego pomiędzy Killarney i Kerry.

Car, to rodzaj wózka lub wozu czysto irlandzkiego pomysłu. Anglicy nigdy go nie używają, a nawet większość z nich nie widziała car'u, bo w Londynie zaledwie że kilku pochodzących z Irlandyi oficerów posiada takie wózki sprowadzone z rodzinnej wyspy. Jest to rodzaj skrzyni odwróconej dnem do góry i opatrzonej w dole deską przeznaczoną na oparcie nóg. Są krótkie car'y spoczywające na dwóch kołach, oraz długie, bardzo długie o czterech kołach, przeznaczone dla kilku a czasami dla kilkunastu osób. Jakim sposobem w powszechnem użyciu są podobnie niewygodne wozy, pozbawione budy chroniącej podróżnych od wiatru i deszczu, w kraju o dżystym i chłodnym klimacie? Pytałem się, lecz nikt mi tego nie umiał wytłomaczyć. Wszakże dla turysty *car* jest dogodny właśnie z tego względu, że jest otwarty i lekki. Z wysokości takiej skrzyni widzi się wybornie okolicę, zwłaszcza jeżeli droga jest równa lub konie zmęczone, inaczej bowiem zachodzi bezustanna obawa stracenia równowagi, skutkiem braku wszelkiego oparcia i jakiejkolwiek poręczy.

Tym samym car'em, co ja, jechało dwóch katolickich księży. Są oni bardzo liczni w Irlandyi, chętnie podróżują i cała ich postać świadczy wymownie o dobrobycie, jakiego używają wśród ubogich parafian. Każdego cudzoziemca zwiedzającego Irlandyę uderza kontrast istniejący pomiędzy rażącem ubóstwem chat wiejskich a wytworną plebanią, bogatym kościołem i okazałemi zabudowaniami klasztorów. Lud tutejszy jest przywiązany do katolickiej religii, będącej jego religią, odmienną od nienawistnych anglików. Z tego też względu irlandczyk księży swych kocha i poważa. Ksiądz nazywany jest przez lud Ojcem (father) i we wzajemnym tym stosunku jest rzeczywiście coś jakby miłość dzieci do uznanej głowy familii. Wieśniak, robotnik, woźnica czy przewoźnik, każdy zdejmuje czapkę, zobaczywszy czarny, długi tużurek i cylinder księdza. Trzeba oddać sprawiedliwość, że ogół irlandzkiego duchowieństwa zasługuje na okazywane przywiązanie i szacunek. Księża irlandcy to żarliwi patryoci, miłujący swą ziemię i z ufnością spoglądający w przyszłość ojczyzny, dla której wyzwolenia bezustannie pracują. W tem właściwie leży cała tajemnica ich łączności z ludem, który ich uważa za narodowych naczelników swoich, wrogo usposobionych dla rządów najezdczych anglosaksonów.

Cudzoziemiec, który tu przybył dla zwiedzenia kraju, otwarcie i swobodnie może z nimi mówić o Irlandyi. Wiedząc o tem, zapytałem księdza siedzącego przy mnie:

Cóż słychać księże proboszczu?... jakże stoją sprawy irlandzkie? Wszak wszystko ucichło i w kraju zapanował spokój?

— Tak,.. nieco nam lepiej... lecz był czas, że bardzo było niebezpiecznie podróżować tu u nas...

— Podczas rozruchów agrarnych?.. Wiem, wiem... wtedy nie mało krwi się polało...

— Tak... nie mało...

Nastąpiło milczenie. Lecz drugi ksiądz, przechyliwszy się w moją stronę, rzekł z przekonaniem:

— Wiedz pan, że popełniane zabójstwa były koniecznością... Od tego czasu nastąpił zwrot ku lepszemu ..

Ksiądz siedzący przy mnie nieco się zatrwożył śmiałą otwartością kolegi, i rzekł do niego z odcieniem wymówki:

Father... father... jak można mówić coś podobnego...

Lecz śmielszy od niego kolega, rzekł w dalszym ciągu:

— Daj pokój... ten pan jest cudzoziemcem... więc można z nim rozmawiać otwarcie... on z pewnością rozumie nasze położenie... Otóż nie twierdzę ja, by zabójstwa były chwalebnym czynem wobec Boga, lecz dla dobra kraju były dobrodziejstwem... Wywarły wpływ na naszych ciemiężców i przyniosły nam korzyści, jakich nigdy nie otrzymalibyśmy czyniąc opozycyę na drodze legalnej... Wreszcie wszyscy wiemy, że zabici zasłużyli sto razy, nie raz, na los, jaki ich spotkał!...

(Dokończenie nastąpi.)

[1]) Marcel Prévost, jeden z najzdolniejszych powieściopisarzy francuzkich. Prócz powieści i artykułów dziennikarskich, Marcel Prévost opisuje wrażenia z odbywanych podróży. Tegoroczne lato spędził w Irlandyi i zanotowane tam wrażenia wydrukował w „Journal“, najlepszym z codziennych paryzkich dzienników.

[2]) Killarney, miejscowość w południowo-zachodniej Irlandyi.

W sprawie
pomnika Adama Mickiewicza.

Nieszczęsna sprawa Mickiewiczowskiego pomnika w Krakowie zamieniła się w prawdziwie „pomnikowy skandal“. Losy pierwszego projektu znają czytelnicy nasi, — obecnie rozstrzygają się losy drugiego i dzięki bezprzykładnej opieszałości komitetu oraz w skutek lekceważącego postępowania rzeźbiarza p. Rygiera zawsze jeszcze w embryonalnych znajdują się zaczątkach. Z ostatniego posiedzenia panów komitetowych dowiedziało się zniecierpliwione w najwyższym stopniu społeczeństwo, że prace rzeźbiarskie w dalekiem jeszcze są polu a sumienność p. Rygiera jest tego rodzaju, że wymaga ścisłej kontroli. Sprawa stanęła zatem znowu na porządku dziennym i spowodowała ostrą polemikę prasową, z której poniżej przytaczamy kilka wyjątków:

* * *

„Dziennik krakowski“ pisze;

Krótkie komunikaty, jakie mamy z ostatnich posiedzeń komitetu budowy pomnika Mickiewicza, są na tyle wymowne, że świadczą o niesłychanem lekceważeniu opinii całej Polski, o bezbrzeżnej lekkomyślności w gospodarowaniu pieniędzmi, złożonemi przez całą Polskę, o upokarzającej bezsilności i inercyi w stosunku do rzeźbiarza Rygiera — jednem słowem: że sprawa pomnika przemieniła się w skandal, który w najwyższym stopniu musi oburzyć i zawstydzić. Tyle dziesiątek tysięcy musiało złożyć biedne nasze społeczeństwo, tyle przeżyć chwil zapału, oczekiwań i zwątpień, tyle lat uśmierzać ból i tęsknotę, by się znowu dowiedzieć, że za kilka miesięcy będą dopiero... modele i że Rygiera trzeba w Rzymie pilnować...

Smutny stan sprawy pomnika oddawna stał się już przysłowiowym i nie dziwimy się wcale, że marszałek Badeni długo się wahał, zanim objął przewodnictwo tragikomicznego komitetu. Ale gdy na ten krok już się zdecydował — innego spodziewaliśmy się ducha, innego wzięcia się do rzeczy. Komitet odbył posiedzenie nie mając żadnego materyału pod ręką, nie wiedząc wcale, jaki jest „stan robót“. Komitet się rozstał, nie zgodziwszy się co do osoby kontrolera artystycznego nad p. Rygierem. Komitet jest tak siebie i swej misyi niepewnym, iż nie śmie nawet w przybliżeniu mówić o terminie odsłonięcia pomnika!! A ty narodzie — milcz i czekaj.

Otwarcie mówiąc — po tym komitecie nikt się innego rezultatu nie spodziewał. Prosimy zważyć, kto brał udział w ostatnich posiedzeniach. Trzech członków! Pan Tadeusz Stryjeński był obecnym jako „doradzca techniczny“. Wiemy dobrze, jak dobrze sprawa dotąd wychodziła na jego „radach technicznych“ — mimo to pozostał i nadal powagą. Pan Jul. Kossak jest wielkim artystą, ale artyzm w sztuce aż nadto często wyklucza artyzm życiowy, a takiego właśnie w wysoce energicznem natężeniu potrzeba, aby dalej sprawą komitetu kierować. Pozostaje p. dr. Jaworski „reprezentant młodzieży“. Nie przesadzimy wcale, twierdząc, że p. Jaworski reprezentuje obecnie nie mandantów lecz siebie, nie przeszłość akademicką, lecz przyszłość swą polityczną. On jest najwięcej odpowiedzialny, i inny na jego miejscu dawno już byłby złożył mandat, który piastować zaszczytnie i dodatnio stało się niepodobieństwem, w ręcenajbardziej powołane — ręce walnego zgromadzenia młodzieży akademickiej. Członkowie komitetu Henryk Sienkiewicz i hr. Raczyński w obradach udziału nie biorą; (Pierwszy wystąpił. Przyp. Red.) w rękach więc trzech komitetowych, mających za sobą długoletnią kompromitacyę, pomnik i nadal spoczywa.

Weźmy pod uwagę ten wzgląd tak mało dodający otuchy, oraz drugi, czysto artystyczny. Czy sądząc podług prac dotychczasowych byłoby dzieło p. Rygiera istotnie zadawalniającem? Nie przesądzamy, jak wypadną grupy, będące obecnie w robocie, ale to należy głośno wyznać, że części już gotowe robią najgorsze wrażenie, że grupa np. „Patryotyzm“ działa w wysokim stopniu nieestetycznie, że całe dzieło w ten sposób wypocone, wymęczone, wydłubane pod kontrolą rozmaitych nadzorców nie będzie odblaskiem „iskry bożej“, nie będzie apoteozą Mickiewicza — owszem, zostałoby, by świadczyć w późne wieki o jednym z największych grzechów, jaki możemy popełnić wobec geniusza narodowego. I mamyż na to pozwolić — z założonemi rękami?

Naszem zdaniem należy dla uniknięcia większego zła poświęcić mniejsze, tj. p. Rygiera i opiekuńcze jego duchy. Komitet powinien złożyć swą godność w ręce kraju, tj. wydziału krajowego, a ów bezzwłocznie stworzyć inny komitet, w skład którego weszłyby odpowiednie żywioły nie z nominacyi, lecz z wyboru; mianowicie takie instytucye jak korporacye artystów. szkoła sztuk pięknych, towarzystwa sztuk pięknych, odnośna sekcya akademii umiejętności. muzeum lwowskie, towarzystwa techniczne, dalej koła obywatelskie z uwzględnieniem najwięcej w tej sprawie zasłużonej młodzieży, wydelegowałyby swoich przedstawicieli. Ci musieliby nad p. Rygierem przejść do porządku dziennego... Świeży, krótkoterminowy konkurs z pewnością plon przyniesie bogaty.

Kwestya funduszów nie nastręcza — zdaniem naszem - trudności. Istnieje jeszcze suma przeszło 30.000 złr. na 20,000 zdobędzie się jeszcze społeczeństwo, albo sejm krajowy, jeżeli odzyska wiarę. Kwota 50,000 jest aż nadto wystarczająca. Każdy, kto podróżuje zagranicą, widzi w każdem mieście włoskiem, belgijskiem, niemieckiem — pomniki, które imponują, w porównaniu z dziełem p. Rygiera — zazwyczaj podniosłe robią wrażenie, a rzadko kosztują więcej nad 100 tysięcy franków. W miejsce niedołężnych allegoryi rygierowskich nielepiej byłożby mieć na Rynku krakowskim naprzeciwko kościoła maryackiego prosty, potężny, w niebo idący obelisk?“

* * *

„Nowa Reforma“ pisze:

„Komentarze do wszystkich tych uchwał mogłyby być bardzo obszerne. Smutna ta, bolesna powiedzieć można, sprawa, wywołuje przecież jedne bardzo ważną uwagę. Uchwała ostatnia jaskrawo ilustruje stosunek komitetu do osoby narzuconego narodowi artysty-rzeźbiarza p. Rygiera. Nieraz już na koszt funduszu pomnika jeździli do Rzymu delegaci, aby kontrolować zobowiązania i zapewnienia p. Rygiera (warto wiedzieć, ile to kosztowało). Obecnie nie tylko, że delegat komitetu z Krakowa do Rzymu ma jechać, lecz i w Rzymie samym „trzecia osoba“ ma być wynaleziona dla sprawozdań o miesięcznym stanie robót! O takim stosunku między artystą, którego wybrano dla dokonania sprawy obchodzącej naród cały, a komitetem, nie umiejącym wyjść z błędnego koła, przez tegoż artystę misternie wykonanego, opinię wyda kiedyś już nie „czwarta osoba“, lecz historya gorszącej tej sprawy, historya smutniejsza nad wszelkie słowa, a dotkliwa dla całej Polski. Doprawdy przykro pisać o tem wszystkiem“.

* * *

Podług „Czasu“ sprawa pomnika dobrze stoi, na intencję bowiem tej sprawy, jak donosi „Czas“, „danym był wieczorem u księcia biskupa krakowskiego, ks. Puzyny obiad, w którym oprócz głównego gościa, udział wzięli: JE. dr. Julian Dunajewski, prezes akademii umiejętności hr. Tarnowski, p. delegat Laskowski. rektor. uniw. Jagiell. dr. Kreutz, ks. infułat Gawroński, p. Jul. Klaczko, profesorowie uniwersytetu Jaggiell. dr. Zoll, ks. Pelczar, ks. Morawski, K. Morawski, dr. Antoni Górski, ks. kanonicy Nowak i Bondurski, redaktor „Czasu“ Stanisław Tomkowicz, tudzież syn p. marszałka krajowego i synowiec księcia biskupa. Prosto z obiadu odjechał p. marszałek na kolej z powrotem do Lwowa, odprowadzony na dworzec przez grono znajomych“. „Czas“ nie dodaje, jakie uchwały zapadły po tym obiedzie, danym wieczorem, domyślać się jednak można, że pito na nim także zdrowie Rygiera i Laskowskiego

Charakterystycznem jest, że Henryk Sienkiewicz wystąpił z komitetu Adama Mickiewicza. Znakomity powieściopisarz pragnął widocznie wycofać nazwisko swoje ze sprawy zamieniającej się w skandal prawdziwy.

Z estrady i sceny.

(Zbójcy.)

Nie ma zapewne drugiego utworu, w którymby pióro przerabiaczy literackich, ołówek reżyserski i aktorskie szczypce tak swawoliły jak w „Zbójcach“. Śmiało można powiedzieć, że każdy teatr nieomal przykrawa najmłodszy dramat Schillera według własnego widzimisię, lutując pierwowzór z Mannheimską przeróbką, opracowanie Plümekego z przyprawami wiedeńskich i berlińskich kuchni teatralnych, wreszcie dodatki tej lub owej znakomitości artystycznej z pomysłami całego legionu literackich krawców. Nadto każdy reżyser skraca lub skreśla samowolnie całe sceny dramatu, a każdy aktor znów na własną rękę opuszcza niewygodne ustępy roli lub z kilku przeróbek układa sobie mozaikę efektownych frazesów, wykluczających się często nawzajem.

Wtorkowe przedstawienie w teatrze poznańskim opierało się głównie na połączeniu dwóch znanych przekładów polskich, po za tem jednak uderzało jeszcze nadmierną obfitością kresek reżyserskich i mnóstwem grymasów panów artystów, urabiających po swojemu powierzone role. Nadużycia te grasują już od dłuższego czasu na scenie naszej, a czytelnicy przypominają sobie może ciekawe zestawienie oryginału i przeróbki aktorskiej, które w ubiegłym roku z powodu wznowienia na scenie naszej Balladyny podałem ad usum dyrekcyi w sprawozdaniu teatralnem. Dziś nowa dyrekcya, — nie od rzeczy zatem będzie przypomnieć tę epidemiczną swawolę, która tak się wgryzła w organizm sceny naszej jak grzyb w podłogę i ściany. Przechodzi ona siłą tradycyi z jednego sezonu na drugi, i p. Ryger będzie musiał stoczyć ciężką walkę, zanim poskromi różnych poprawiaczów i poprawiaczki Schillerów, Słowackich, Szekspirów. Ale ją stoczy, — w to wierzę.

Rola Franciszka Moora nie należy do najlepszych, które R y g e r posiada w repertuarze swoim, ale mimo to górował on, jak zwykle, talentem wybitnym nad resztą wykonawców. Wśród nowoczesnych artystów, popisujących się szatańskim demonizmem Franciszka, dwa typy wyróżnić należy. Jedni z góry rezygnują z niewdzięcznej pracy nad uprawdopodobnieniem psychologicznem tego w fantazyi młodziutkiego poety poczętego potwora i starają się tylko wyzyskać jaskrawe kolory roli, zaprodukować siebie jako wirtuozów mimiki, pokazać zwierzę, które Schillerowi podobało się nazwać człowiekiem. Inni, posłuszni wskazówkom kilku nowoczesnych komentatorów, że tylko wymienię berlińskiego Geigera, usiłują w Franciszku uwydatnić człowieka, dowieść, że potworność tego ojcobójcy posiada głębsze psychologiczne motywy, przedstawić szatańskość jego jako protest pokrzywdzonej przez naturę istoty, która mści się i buntuje przeciw niewidzialnej potędze, niosącej jednym jako dar królewski piękność, miłość, bogactwo, a drugim nic... nic. Za krzywdy swoje depce Franciszek prawa natury, a depcąc je czuje ból szarpiący, czuje ponure „Veto“ tych praw, przeciw którym bój wiedzie posępny. Tak pojmuje Ryger Schillerowskiego bohatera i zdaje mi się, że słuszność jest po jego stronie, a jeżeli rysunek postaci, mimo rozpaczliwych wysiłków artysty, krzywi się miejscami lub urywa, to już wina poety, nie aktora. Jedno tylko znowu powtórzyć muszę o grze p. R y g e r a, — do którego oczywiście stosuję wyższą miarę artystyczną, — że o ile w silnych, eksplodujących, konwulsyjnych momentach roli wstrząsa potęgą gry swojej, o tyle w chwilach refleksyjnych i konwersacyjnych jest niekiedy wymuszonym i sztucznym.

Amelię odtworzyła panna A u d r a n. Zawsze żałuję artystki, której dyrekcya tę rolę powierzy, bo cóż tu począć z tym słodkawym zlepkiem sentymentalnych wykrzyków, który poecie zdawał się żywą kobietą. Gra się tedy bez krwi i duszy, bez życia i logiki, gra się deklamacyą i rutyną. Pierwsza była chwilami u p. A u d r a n bardzo szczęśliwą, druga natomiast znamionuje materyał jeszcze surowy i twardy. Czy w tej artystce tkwi talent wybitniejszy, tego dziś jeszcze nie rozstrzygam, bo obie jej większe role w bieżącym sezonie — Niobe i Amelia — są tak wyjątkowo sztuczne i karykaturalne, że zgłębić nie pozwalają artystycznego indywidualizmu aktorki.

Gra p. T a r a s i e w i c z a w roli Karola odsłoniła nam znowu prawdziwy talent deklamacyjny. Młody artysta jednak nie poznał jeszcze ekonomii głosu i nieraz, mimo najszczerszej chęci i zrozumienia roli, wyrzucał tony fałszywe lub blade. Skrępowane ruchy zdradzały również, że scena nie stała się jeszcze ojczyzną bohaterowi naszemu, — bądź co bądź jednak tkwi w panu T a r a s i e w i c z u talent, któremu na scenie piękna uśmiecha się przyszłość. Reszta artystów, z wyjątkiem p. K a r p o w i c z a, któremu pamięć w roli Kosińskiego znowu nie dopisywała, co nader przykre wywarło wrażenie, i p. S z a t k o w s k i e g o, który z otchłani swego wielkiego ciała takie tony wydobywał, że zdawał się być brzuchomówcą w dosłownym tego wyrazu znaczeniu, wywiązała się mniej lub więcej poprawnie z ról swoich. Obóz opryszków jednak nie odznaczał się ani malowniczością, ani ruchem i życiem. Snać Meiningeńczycy nie zrobili jeszcze szkoły w Poznaniu.

W. R.

TO I OWO.

Tajny organ policyjny.

Życzliwa ręka nadesłała nam nr. 41 tajnego organu policyi poznańskiej, zawierający wyjątki z prasy polskiej w całym zaborze pruskim i na Górnym Szląsku, oraz z kilku galicyjskich czasopism. Organ ten wydawany p. t. „Gesammtüberblick über die polnische Tagesliteratur“ otrzymują jak wiadomo wszyscy landraci, wyżsi urzędnicy rejencyjni i ministeryum spraw wewnętrznych. Nr. 41 zawiera między innemi w przekła-

dzie artykuł „Kuryera Poznańskiego“ (nr. 228) o Banku ziemskim, sprawozdanie „Orędownika“ (nr. 229) o walnem zebraniu Sokołów, rozprawę statystyczną Gońca Wielkopolskiego (nr. 226) o liczebnej sile Polaków, Rusinów i Litwinów, artykuły „Dziennika (nr. 227, 228 i 229) o wysyłaniu rekrutów polskich do Niemiec, o spółce parcelacyjnej, o komisyi kolonizacyjnej i sprawie Carnapa, dalej krótsze i dłuższe wyjątki z Wielkopolanina, Gazety Grudziądzkiej, Gazety Toruńskiej, Dziennika Kujawskiego, Katolika, a nawet Dziennika Polskiego (Lwów) i Kuryera Lwowskiego“. Z przedmiotów poruszonych w nr. 41 tajnego organu policyi poznańskiej wymieniamy jeszcze: wystawę pszczelniczą w Inowrocławiu, mszę odprawioną w kościele farnym na pomyślność teatru poznańskiego, zatarg Gońca z przedsiębiorstwem pocztowem „Hansa“, sprawę opalenicką, polemikę „Gazety Toruńskiej“ z „Hamburger Nachrichten“, szykany policyjne w obec sokołów bytomskich, referat o rezultacie żniw w Galicyi, opis uroczystości Kilińskiego we Lwowie i t. p.

Niechajże sobie panowie urzędnicy przeczytają uważnie artykuły polskich gazet. Wyjdzie im to na pożytek.

* * *

Babie lato na warszawskiej scenie.

W „Kraju“ petersburskim czytamy:

„Tak, niestety, scena ma swoje prawa, dziesiątki lat nie przechodzą bez śladu i pomimo złudnej optyki teatralnej, trudno nawet w blaskach kinkietów zachować urok prawdziwej młodości, jeżeli ją życie zacierać zacznie. Ale o tem rzadko, a na scenie nigdy prawie nie chce się pamiętać. Stara gwardya nie łatwo kapituluje, a przysłowie nie darmo powiada, że w starych piecach dyabły palą.

Na scenie warszawskiej dzisiaj uczuwać się daje więcej, niż kiedykolwiek, brak rzeczywistej świeżości i młodocianego uroku. Naiwność z udanym wdziękiem dźwiga całe pudy wiosen, a przejrzałość kopy latek pokrywa sztucznie środeczkami charakteryzacyi i ubioru. Blaski zachodu udają zawsze jeszcze jutrzenkę, która boi się, jak dyabeł święconej wody, swojej własnej metryki.

Przykro to głośno wytykać, zwłaszcza płci pięknej, która ma wielką na tym punkcie drażliwość, ale skoro sama nie umie, czy nie chce się w porę opamiętać, dla dobra sztuki i sceny trzeba jej choć najdelikatniej przypomnieć, że dyplomaci i kobiety zyskują na tem zawsze, kiedy w porę umieją zejść ze stanowiska. Na scenie trzeba mieć tylko tę przezorność, aby sobie przejście z jednego repertuaru do drugiego zręcznie przygotować i zamieniać jedne role na drugie, nie upierając się wyłącznie przy „naiwnych“, „amantkach“ lub „kokietkach“, kiedyby się oddawna powinno grywać szlachetne matki i matrony.

Scenie warszawskiej przydałaby się bardzo taka rozsądna klasyfikacya „sił i środków“, po której konsekwentnie powinnaby nastąpić tansfuzya młodej, świeżej, odżywczej krwi w ten organizm, dobrze już przywiędły. Czasby już było skończyć z „babiem latem“ i „drugą wiosną“ na deskach naszej komedyi i dramatu, a postarać się o więcej miejsca dla prawdziwie młodych, których odmładzani nie zastąpią nigdy w zupełności“.

Na Wyłomie.

(Nowy redaktor „Dziennika Poznańskiego“.)

Kto zasiędzie na opróżnionem przez śmierć Franciszka Dobrowolskiego krześle redakcyjnem? — oto pytanie, które znowu zaprząta nietylko Poznań, ale całe Księstwo. Po „Franciszku giętkim“ nastąpił „Józef czerwony“, nie jako król, następca tronu, lecz jako rejent prowizoryczny. Nominacya ta w Kuryerowym obozie i na prawem skrzydle Dziennikowej koteryi zbudziła popłoch niemały i zrazu ciche, potem coraz głośniejsze objawy niepokoju. Poseł Głębocki redaktorem Dziennika? On sejmowy protestant? on wróg ugody? On, który nigdy Boga nie błagał, by pioruny swoje ciskał w ruch ludowy? Zagrano larum bojowe. I lubo nowy redaktor trzymał się utartej drogi starego, pomny przysłowia *„vestigia semper adora“*, lubo raz jeden tylko demokratycznym akcentem zdradził czerwień swoją w „Dzienniku“, — lubo miał minę baranka i wszelkiej, technicznej nawet unikał reformy, mimo to wszystko stronnictwo białych i najbielszych wyprowadziło swe pułki do walki. Bum! Pierwszy strzał zagrzmiał z reduty „Kuryera“. Nowy redaktor milczał. Bum! trzasła druga rakieta: Gdzie credo twoje nowy redaktorze? Poseł Głębocki milczał. Wreszcie sufler poznański „Kraju“ petersburskiego wysadził minę dynamitową: „To uczeń „Gońca“ ten nowy redaktor“, — a nowy redaktor milczał.

Mimo tych strzałów, stanowisko posła Głębockiego zdawało się być niezachwiane. Wtajemniczeni jednak szeptali o zakulisowych intrygach, o gorączkowej agitacyi za i przeciw, o adwokackiej zręczności wrogów i przyjaciół. Zbliżała się chwila stanowcza. Walne zebranie akcyonaryuszów „Dziennika“ miało zatwierdzić tymczasowego redaktora, lub rządy „Dziennika“ złożyć w inne ręce. Zebranie się odbyło, — lecz urna, z której wyjść miał stary lub nowy redaktor, pozostała zamkniętą. Wybrano tylko radę nadzorczą i w radzie tej zasiadł najbielszy z białych, filar Kuryerowego obozu, aranżer mgławic ugodowych, Józef Kościelski. Panu Kościelskiemu i pięciu innym akcyonaryuszom „Dziennika“ powierzono wybór redaktora. Znowu noc nastała — w mrokach jednak snuły się jakieś cienie i szepty syczały w około. Po tygodniu ciszy strzał i błyskawica. W niedzielnym numerze „Dziennika“ — a był to najciekawszy numer tego pisma w ostatnich latach dziesięciu — oświadczył poseł Głębocki, że redakcyjne rządy sprawuje tylko prowizorycznie i pod żadnym warunkiem ewentualnej nominacyi na redaktora stałego nie przyjmie.

Osłupienie, domysły, kombinacye. Jedni nam mówią, że trudno było „czerwonemu redaktorowi“ pogodzić obowiązki obywatela ziemskiego i posła z nawałą zajęć dziennikarskich, drudzy upatrują w abdykacyi zręczne wycofanie się z pola bitwy, gdzie p. Józef Kościelski działa swoje wytoczył, inni wreszcie plotą coś o nizkich honoraryach, uciążliwych warunkach kontraktu itd. Kto w tych domysłach prawdę zdobył, a kto fałsz, tego nie rozstrzygamy stanowczo. Faktem jest tylko, że gdy jeden Józef znalazł się w radzie nadzorczej, a drugi na krześle redakcyjnem, ten z krzesła dobrowolnie ustąpił.

Co dalej będzie, to z politycznego stanowiska rzecz prawie obojętna. Z tą samą chwilą bowiem, gdy pan Kościelski wszedł do rady nadzorczej, kwestyę zasadniczą uważam za rozstrzygniętą. Czy ten, czy ów z kandydatów zdobędzie berło redaktorskie, to dziś tylko drugorzędne posiada znaczenie, bo przez powołanie fanatycznego zapaleńca ugody na kierujące stanowisko, Dziennik powtórnie białą wywiesił chorągiew, zamanifestował swój zwrot ku wyblakłym ideałom ultralojalizmu i dał do zrozumienia jakiego redaktora pragnie i czyja batuta kierować będzie tym „nowym człowiekiem“. Niechaj nikt się nie łudzi, że pan Kościelski nie zawładnie pismem, będąc w zarządzie tylko jednym z sześciu. Większość rady nadzorczej nosi jego barwy, a gdyby nawet białość ich miała tony czerwone, to gdy taki wirtuoz zacznie pędzlem władać, zbieleje wszystko, jak... grób pobielany. Stało się. Dziś chodzi tylko o to, czy ten nowy a raczej odnowiony kierunek znajdzie redaktora, który, oprócz Kościelszczyzny, posiadać będzie talent odświeżania zawiędłych organizmów, restaurowania zardzewiałych maszyn i wymiatania tandety. Jeżeli już ma być białym, niech będzie przynajmniej zręcznym mechanikiem, niech dokona technicznej reformy, bo obecne koła i kółka „Dziennika“ tak skrzypią, że aż uszy bolą.

W takich warunkach dziwić się nie można, że znowu odzywają się głosy, zalecające zespolenie Dziennika z Kuryerem. Kraj nasz tak biedny, — pocóż ma żywić bliźnięta? Z drugiej strony jednak w szerokich kołach abonentów „Dziennika“ budzi się protest cichy i słychać szemranie. Wojna między czytelnikami a redakcyą — to stara historya. Przyzwyczajenie jednak, tradycya i brak innych, wielkich a żywotniejszych dzienników tamowały dotychczas tłumną dezercyę abonentów. Czy wobec nowego zwrotu tama ta nie runie, — czy tam, gdzie redakcya galopuje na prawo a czytelnicy pod presyą stosunków suną i suną w odwrotnym kierunku, nie pękną stare łączniki, — to najbliższa przyszłość pokaże, a łatwo być może, że oblicze tej przyszłości stanie się głową Meduzy dla panów akcyonaryuszów. Ta głowa podobno zabijała, — lecz któżby tam wierzył dziś w takie bajeczki!?

Są ludzie, którzy tak niezmylnie ufają własnej potędze i własnemu szczęściu, że gdy łuna czerwieni się na niebie, gdy okrzyk „Gore“ budzi ich z uśpienia i tysiące rąk wskazują na morze płomieni, im się wydaje, że to zorza świeci, lub w kominie palą się sadze, które jeden dzban wody zaleje. Nie! tych potężnych tknąć się nie odważy fala zniszczenia. Ha! zobaczymy. *Sulla.*

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** Dziś, w sobotę, odegrają artyści poznańscy po raz pierwszy czteroaktową komedyę Zalewskiego „Syn“. Krytyka warszawska utworowi temu oddaje wielkie pochwały. — W Toruniu zawiązało się pod dyrekcyą p. p. Majdrowicza i Skirmunta towarzystwo prowincyonalne i podróżować będzie przeważnie po miastach zachodniopruskich. Życząc nowemu przedsiębiorstwu powodzenia, wyrażamy zdziwienie, że nowa trupa przywłaszcza sobie tytuł „teatru prowincyonalnego z Poznania“. Może to zbudzić fałszywe wyobrażenie, jakoby towarzystwo toruńskie było składową częścią trupy poznańskiej. — Teatr lwowski przygotowuje nową komedyę „Krzywdzica“ p. t. „Krew nie woda“. Utwór ten składa się z 6 odsłon i zawiera balet, śpiewy i kapelę damską na scenie. — W Warszawie doznała sympatycznego przyjęcia czteroaktowa komedya Wildenbrucha p. t. „Skowronek“ (?). Oryginalny tytuł sztuki jest „Haubenlerche“.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **S. K.** Sprawa jest w biegu i skoro tylko zorganizuje się towarzystwo, nie omieszkamy skorzystać z propozycyi Szanownego Pana. Żonie Pańskiej za dobre chęci przesyłamy wyrazy głębokiego uznania. Będzie to czyn prawdziwie obywatelski.

— **A. C.** Z łaskawie nadesłanego utworu skorzystać nie możemy.

— **Czytelniczka.** Wymieniają kilku kandydatów. Czy jednak pan Donimirski ma największe szanse, rozstrzygnąć nie możemy. Pan Donimirski pochodzi z Prus Zachodnich i kieruje obecnie wraz z p. Godlewskim i ks. Chełmickim redakcyą warszawskiego „Słowa“.

— **99.** Wykonanie nie złe, lecz pomysł zużyty. Prosimy o inne próbki.

SKŁADKI.

— Na „Czytelnie ludowe“ złożyli w redakcyi pisma naszego: Panna M. K..... 1 mrk. X. z Warszawy 5 rsr.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28